



== Pismo Illustrowane dla Kobiet ==

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie
 Kwartalnie rs. 1.
 Za odosłanie do domu kwartalnie kopiejk 10.
Na prowincyi
 Kwartalnie rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
 Warszawa, Chmielna № 26.

TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:

We Lwowie i Krakowie
 Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
 Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
 Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty
 na kwartał czwarty roku 1896-go. Wa-
 runki prenumeraty pozostają te same
 a mianowicie:

W Warszawie: kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.

półrocznie rs. 2 kop. 50.

rocznie rs. 5.

Adres: „Tygodnika mód i powieści”
 w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumerato-
 rów o nadsyłanie kartki adresowej z opa-
 ski przy odnawianiu prenumeraty, jak
 również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

Antoni Miecznik.

OWANES OHANA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Helunia zasnęła w marzeniu pobożnem, z wiarą
 w lepszą, szczęśliwszą przyszłość.

W kilka dni potem wrócił Owanes, i zaraz
 o uszy jego obły się głuche wieści, krążące na
 odaji o zalotach Szymonowicza.

Nie chciał wierzyć, choć to było dla innych
 rzeczą zwyczajną, chciał usłyszeć o tem z jej
 ust, a bał się.

Po minie pana Kajetana zły i jakby zgryzio-
 nej i po ironicznym uśmiechu gospodyni poznał,
 że coś tam być musiało, tembardziej, że Helcia
 taka zdawała mu się smutna, jak nigdy. Oczy
 jakby przyćmione lżą ani patrzyły na niego,
 a jeżeli wejrzały, to tem wejrzeniem pełnem
 tęsknoty bolesnej, od której serce mu się kra-
 jało.

To też, gdy upatrzył chwilę, w której mógł z nią
 pomówić swobodnie — a i to zauważył, iż Hel-
 cia teraz już jakby pilnowaną, jakby kontrolo-
 waną była — zapytał jej:

— Helciu, czy to prawda?

Co takiego, nie mówił, nie chciał mówić; ser-
 ce mu biło i drgało boleśnie.

Dziewczyna spojrzała na niego i rzekła:

— Prawda.

— I ty się zgadzasz? — pytał dalej.

— Na co?

— Na co? Przecież rozumiesz, o co mi cho-
 dzi. Podobno się Szymonowicz oświadczył ojcu
 o twoją rękę.

— Tak.

— I cóż ty na to?

— A co ja mogę? Co ja mogę? Powiedzia-
 łam tatce, że za niego nie wyjdę, że go nie ko-
 cham, że kochać nie mogę, bo inny zajął mi ser-
 ce całe, a tatko się jeszcze rozgniewał. Ach,
 żebyś ty wiedział, co ja przeżyłam w tych dniach!
 Ty byłeś daleko, daleko; tyś tego nie czuł.

— Czułem — odrzekł z mocą, — ja wszystko
 czuję, co oni z tobą zrobić myślą. Więc cię zmu-
 szają do poślubienia Szymonowicza?... A czy
 zmuszą?

Patrzył na nią, wzrok mu się palił dziko, ona
 nie śmiała podnieść oczu, bała się tych palących
 źrenic, które czuła na sobie.

— Co ja zrobię? Ty rozumiesz, o co chodzi;
 tatko powiada, żeś ty biedny, żeś ty jeszcze ni-
 czem, a Szymonowicz jest panem.

— Ach i ja panem bogatym będę; ja będę
 dziesięć razy bogatszym od niego, tylko z tobą
 i tylko z tobą, boś ty moją siłą, energią, wolą,
 rozumem — wszystkim. Pojmujesz, tyś mojem
 wszystkim!...

Nie było przy nich nikogo. Ptaszki świergo-
 tały, przelatując z drzewa na drzewo, muchy
 i muszki brzęczały monotennie. Powietrze było
 ciężkie, parne, w naturze panował ten spokój,
 który zazwyczaj poprzedza burzę.

— Rozumiesz, tyś mojem wszystkim! — po-
 wtarzał młody człowiek, ściskając konwulsyjnie
 jej małą rączkę pieszczoną. — Dla ciebie zosta-
 nę bogatym, bardzo bogatym, ale cię mieć mu-
 szę. Teraz wiesz. Oni cię mnie biednemu nie
 oddadzą, im Szymonowicz się podoba, bo on ma
 własny majątek, bo jest ich współnikiem, oni
 w tem upatrują interes...

Zatrzymał się, a potem uklęknawszy przed nią,
 szeptał, całując namiętnie jej ręce:

— Oni mnie się pozbędą, skoro im stanę na
 drodze, nie uwierzą ani w mój rozum, ani w mo-

je siły, ani w moją młodość. Ja znam twego ojca, to człowiek nieugięty, jego się wszyscy boją i słuchają; ja znam Stefka, brata twego, ten mnie od dzieciństwa nienawidzi; ja ich wszystkich znam... Tyś dla mnie przy nich stracona, a ty przecież nie chcesz mię tracić za to, że ja cię tak, tak bardzo, tak bezgranicznie kocham!?

— Nie, nie, i ja cię kocham—posłyszał odpowiedź cichą, jak delikatny powiew ciepłego zefiru.

— Więc chodź za mną — zawołał, — chodź, uciekaj!... Zaprowadzę cię tam, gdzie ich nie będzie, gdzie sami się tylko sobą cieszyć będziemy mogli.

— Uciekaj ze mną!

Powtórzył to z taką siłą, z takim pociągającym uniesieniem, że dziewczyna czuła się oczarowaną; przez chwilę na twarzy jej zawisło wahanie, lecz wnet je odpędziła, mówiąc:

— Nie, nie mogę! Za niego nie wyjdę, lecz i z tobą nie ucieknę, ja boję się uciekać, ja się lękam ucieczki, lękam się kary Bożej, kary losu, nie, nie, nie... ja tu zostanę.

Wściekłość w nim zawrzała, płomień wystąpił na twarz, pociągnął ją ku sobie i szeptal:

— Więc wyjdiesz za niego, ja to wiem, oni dokażą swego. Twój ojciec wszystkiego dopnie, to człowiek, który wszystko zgiąć i zgnieść potrafi!

Wyrwała mu się.

— Owanes, tak mnie kochasz? — mówiła z wyrzutem w głosie. — Czy chcesz mojej zguby?

— Ja chcę twojego ocalenia, oni ci zgubę gotują... Nie chcesz zatem, tak?... Słuchaj że: ja tu dłużej być nie mogę, bo za wiele na mnie, jabym zwaryował, oszalał, jabym gotów katastrofę wywołać; ty znasz mię, skoro jestem spokojny, to anioł ze mnie, lecz biada tym, co mi na drodze stają!

Powstał i rzekł:

— Bądź zdrowa!

— Owanes!—wyrwało jej się nagle z piersi,— ty mię porzucasz?...

— Muszę! Bądź zdrowa i pamiętaj: ja będę bogatym, bogatszym od nich wszystkich, pokażę im to nie za rok, nie za dwa, nie za trzy może, ale pokażę w końcu. A jeżeli ty żyć będziesz, moją być musisz, boś ty moja, moja na wieki!

— Twoja... — i chwyciła go za rękę.

Wtem dał się słyszeć głos w bocznej alei:

— Helciu, Helciu, chodź prędzej, pan Szymonowicz przyjechał...

— Przyjechał! Bądź zdrowa!

Zawołał Owanes i znikł w gęstwinie.

Nie mogli się już więcej zejść samnasam. Baczne oko pani Kajetanowej i Stefka spoczywało na nich. Widywali się tylko w towarzystwie innych, bo pan Kajetan wyraźnie i stanowczo zabronił Helci wszelkiej rozmowy z Owanesem. Mówił, że zrobi awanturę, że go wypędzi natychmiast, skoro ich spostrzeże razem.

Porozumiewali się tylko spojrzeniami rzucanymi od czasu do czasu na siebie, był to jedyny ich sposób rozmowy. A rozumieli się mimo to i odczuwali zupełnie.

W kilka dni po ostatniej rozmowie z Helcią, Owanes wróciwszy wieczorem z pola do swego pokoju, zastał pod lichtarzem jakąś kartkę złożoną we dwoje. Żdziwiło go to, rozwinął czerpędziej papier i przeczytał:

„Kochany, drogi, najdroższy mój!

„Próbowałam raz jeszcze mówić z ojcem. Przedstawiłam mu wszystko, co dusza myślała i czuła, prosiłam go, błagałam, by mię nie zmuszał do poślubienia Szymonowicza, gdyż ja go kochać nie mogę, bo kocham ciebie. Mówiłam mu, że będę na ciebie czekać, aż się dorobisz, aż będziesz bogaty, aż się dasz poznać ludziom. Wszystko napróżno. Ojciec rozgniewany dużo mi przykrych słów powiedział, zagroził, że jutro z pewnością wydali cię. Ty masz być wydany zupełnie tak samo jak zwykły oficyalista, ekonom? Nie... Nigdy... Nie, to być nie może: ja nie chcę tego! Więc proszę cię, idź zaraz do ojca, i sam się zwolnij od obowiązków.

„Wierz mi, ja cię wiecznie kochać będę i do ciebie należeć nie przestanę. Wszystko przetrzymam, na ciebie zaczekam, aż staniesz się bogatym, panem, bo oni tylko wówczas dadzą się przebłagać.

„Bądź zdrow, myśl o mnie, i kochaj mię!

Twoja na wieki

Helcia.”

Przeczytawszy to pomimo wzruszenia, które nim miotano, bo czuł na przemian błogość i rozpacz, udał się wprost do Bohdanowicza.

Stary mieszkał na końcu bocznego pawilonu, tuż przy kancelarii; świeciło się jeszcze w jego pokoju, widocznie nie spał.

Owanes lekko zapukał do drzwi. Nic. Zapukał po raz drugi, dał się słyszeć głos przytłumiony:

— Kto tam? proszę.

Wszedł. Pan Kajetan siedział przy stole w szlafroku i pisał coś, odwrócił się natychmiast, a zobaczywszy Owanesa chrząknął, a potem spytał:

— Czego chcesz o tej godzinie?

— Jutro jadę, wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Do Odessy.

— Dawno to już trzeba ci było zrobić!

— Cóż to znaczy, nie rozumiem? — zapytał młody człowiek, a nerwy mu się rwały z gniewu. Stary zatopił weń swe stalowe błyszczące oczy, i zawołał:

— Co to znaczy?... Ty wiesz, o co chodzi... Lepiej jednak nie mówmy o tem, mógłbym nie zapanować nad sobą, a mam do tego powody.

To był ojciec Helci; Owanes, wstrzymał się więc, obcemu byłby z pewnością odpowiedział inaczej.

Siłą woli zdobył się raz jeszcze na umiarkowanie.

— Jadę jeszcze dzisiaj — powiedział wolno — i dlatego proszę pana o uregulowanie mojego rachunku i przesłanie mi należności mej na imię Bazylego Kurgopulo.

Stary zdawał się nie słyszeć tego, mówił jakby do siebie:

— Będą cię tu długo, bardzo długo pamiętali.

— Będą mnie tu zawsze pamiętali, i ja o nich nie zapomnę, skoro wrócę bogatym panem!

To rzekłszy wyszedł.

We dwie godziny po owej rozmowie w gabinecie pana Kajetana, na odaji rozległ się turkot głuchy wśród ciszy nocnej. Wszyscy już spali, nikt nawet nie wyjrzał z chaty, tylko stróż nocny przystanął, a oparłszy się na kiju patrzył na szaraban wiozący Owanesa w świat. Bo to on

wyjeżdżał z Wysokiej z rozpaczą w duszy a gorącą miłością i tęsknotą w młodem, niezspsutem sercu.

Ohana usunął się z drogi rywalowi, zostawił pole swobodne do działania rodzicom Heluni, a sam pędzony przez los nienawistny, który wyrwał go z rozkosznego marzenia, rzucał się śmiało w otchłań życia bez jutra. Opuszczając odaję, nie wiedział, co będzie właściwie robił na szerokim świecie, nie zdawał sobie na razie sprawy z położenia ciężkiego, umysł i serce miał zajęte zupełnie, a boleśnie uciśnione zarazem. Czuł tylko jedno, że tę, od której go usunęli, odepchnęli, miłował więcej niż wszystko, co uważał za najdroższe.

Jednakże dzięki wrodzonej zapalczywości i sprężystości ducha, potrafił w części przynajmniej uśmierzyć burzę, którą odczuwał w sobie, i zaczął napowrót stawiać się panem siebie i swojej woli. Zwyciężył uczucie, ukrył je głęboko, w sercu swem; miłość Helci stała się dlań świętością niepokalaną, niewzruszoną. Powoli, zdaleka od swoich, zdaleka od Wysokiej, zaczął mu się wyłaniać jasno cel życia nowego, a promieniał on przed nim nie jako ideał nieuchwytny, wysoki, nadziemski, lecz jako potęga złota. Miał inteligencję, spryt, rozum; brakło mu tylko bogactwa, postanowił więc zdobyć je, by im pokazać, że ma, ma to złoto, że go ma dużo, bardzo dużo.

Ciężkie były początki. Czasami zniechęcenie odbierało mu siły do dalszej pracy; chwytal się wszystkiego po kolei, aż dopiero po roku, dzięki sprzyjającym okolicznościom wszedł w sfery handlowe. Tu naprawdę ujrzał pole właściwe dla swych zdolności przyrodzonych i energii.

Nie zawiodły go też nadzieje, handel rozumnie i na szeroką skalę prowadzony przyniósł mu fortunę po latach dziesięciu. Został bogatym, będąc jeszcze w pełni męskiego wieku. Towarzysze, spółnicy widząc, że zwija wszystkie interesy, dziwili się, i odradzali mu. Nie mogli zrozumieć, że ten człowiek, który zdawało się, duszę całą włożył w przedsięwzięcia finansowe, dla którego pieniądze był bogiem niemal, że ten człowiek ma i inne pragnienia, jakieś uczucie idealne, przenikające go nawskroś i ciągnące ku nieokreślonemu, niepewnemu celowi. Ohana na wszystkie perswazyje odpowiadał uśmiechem i żartem. W ciągu kilku miesięcy zlikwidował zupełnie swoje interesy i wrócił do Odessy, z kąd przed laty kilku wyruszył biedny, rozpaczony, zgryziony—na Wschód daleki. Tutaj, w tem wielkiem mieście, dzięki dziwnemu zbiegowi okoliczności udało mu się wejść w układy z Sabescu, zbankrutowanym właścicielem Nikoreszt, o których istnieniu już dawno wiedział. Majątek od niego kupił tanio i tym sposobem stał się sąsiadem Teleszówki.

A Helcia opierała się rok cały zalotom Szymonowicza i namowom rodziców, tęskniła strasznie za Ohaną; był czas kiedy zaczynali się obawiać o jej zdrowie. Jednakże uległa w końcu; czas złagodził tęsknotę, wspomnienie stało się rozkoszą cichą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Nasi najmłodsi.

(Ciąg dalszy)

II.

Autor *Chaty Nikodema* zdaje się posiadać wszelkie warunki niezbędne do zdobycia laurów poety popularnego. W jego organizacji artystycznej pierwiastkiem głównym jest uczuciowość, a uczuciem łatwiej bądź co bądź dzielić się, niż myśleć. Kto posiada dar wzruszania, liczniej-
sze dokoła siebie zgromadzić zdoła tłumy, niżeli ten, który zawrotnymi ścieżkami marzenia wie-
dzie na szczyt idei.

Pełne serdecznej prostoty utwory Gliškiego bezwzględnie dostępnejszymi są dla ogółu, niżeli filozoficzne poezje Langego, które mimo prze-
dziwną piękność formy nie mogą liczyć na sze-
rokie koła czytelników.

Inną właściwością Gliškiego, właściwością, która powinna także przyczyniać się do popu-
larności jego imienia, jest wybitnie i niezaprze-
czenie swojski charakter jego utworów.

Wszyscy prawie młodzi poeci nasi pili obficie z odurzającej krynicy, która w ostatnich dzie-
siatkach lat na zachodzie Europy wytrysła, wszystkim prawie chrztem poetyckim była ką-
piel w nowożytnych prądach twórczości europejskiej. To też niby niewyraźne przypomnienia poprzedniego bytu snują się po ich utworach jak-
ieś dźwięki obce, jakieś tony, nie tony a echa tonów wyśpiewanych już gdzieś w dali. Odnosi się to zwłaszcza do początków ich twórczości, za-
nim zdołał każdy z nich z pod wpływów tych się otrząsnąć, i własną swą indywidualność wyraźnie zaznaczyć.

Gliški od źródła tego, toczącego to mętne, to kryształowe, to wszystkimi barwami tęczy mie-
niące się wody, stał zawsze zdaleka, i jeśli kiedy przyłgał doń ustami, to chyba a chwilę tylko, i ani się odurzył, ani pić w zapragnął. Wła-
snych niw strumienie w czały mu. Nadarem-
nie też szukalibyśmy w jego pracach śladu no-
wych kierunków umysłowych i literackich zro-
dzonych na Zachodzie lub Północy. Zarówno panteistyczny mistycyzm Maeterlincka z wyrafi-
nowaną prostotą formy, jak mglisty symbolizm lub dekadentyzm francuski, jak którykolwiek wreszcie z prądów współczesnych nie odbiły się na twórczości jego ani jednym rysem znamien-
nym.

Gdy do tych właściwości talentu Gliškiego dodamy, że jako człowiek przekonani nie stanął on na żadnym ze stanowisk krańcowych, mogą-
cych go wobec pewnego odłamu czytelników de-
popularyzować, że z nadzieją zwracając się ku przyszłości dla przeszłości zachował cześć, że ła-
godzenie antagonizmów społecznych, zlewianie roz-
dźwięków bolesnych w jeden akord miłości, uczynił ideą przewodnią wszystkich niemal utworów swoich, dojdziemy do przekonania, że istotnie po-
siada on dane do zgromadzenia wkoło siebie najliczniejszego grona zwolenników. Jeżeli zaś mimo to wszystko nie zdobył on i setnej części tej popularności, jaką w pewnym okresie życia swego cieszył się na przykład Syrokomla (z któ-
rym wiąże nawet Gliškiego pewne powinowa-

two duchowe), to przyczyn tego dopatrywać po-
trzeba w dziwnym i smutnym zubożeniu spo-
łeczeństwa naszego dla poezji wogóle. Niepodo-
bna być ulubionym pieśniarzem tam, gdzie pieśń
nie jest lubiona.

Po tych kilku uwagach natury ogólnej przejdź-
my do szczegółowego zapoznania się z dotych-
czasowym dorobkiem twórczym poety.

Prócz powieści, które w zakres studium na-
szego nie wchodzi, składają się nań dramata:
„Oblakani,” „Almanzor,” „Anna Firlejówna,”
obrazki dramatyczne: „Z walk życia,” „Chata
Nikodema,” „Wspomnienie Tatrów,” „Pieśń kró-
lewska” i spora wiązanka drobnych utworów li-
rycznych.

Pomijając dramata, których obszerną recenzją
drukowało kiedyś pismo nasze, zajmiemy się po-
zostałą resztą utworów Gliškiego.

„Wspomnienie Tatrów” są to opowiadania
o doznanych w czasie podróży górskiej wra-
żeniach, przygodach, niebezpieczeństwach i t. d.

„Wspomnieniu” temu brak szczerzego odczucia
przyrody. Brak ten napróżno usiłuje autor za-
stąpić opisowością. Najsympatyczniej też przed-
stawiają się ustępy, w których poeta zapominając
o górach, zwraca się ku przeszłości swojej, mó-
wi o swoich smutkach, pragnieniach, opowiada
marzenia i sny.

To widzenie na przykład, które miał na zam-
ku Czorsztýńskim, to fragment istotnie przeżyty
i odczuty.

„Jaka mi nagle uderzyła w serce
Fala krwi!... Zamku rozbiegły się ściany,
Zajaśniał komnat rząd, strojny w kobierce.
Podwoje pękły... Głuchy, urywany
Kroków stuk słyszę i jęki omdlałe,
Powstają białe widma, niby białe
Anioły ruin... przez zamku komnaty
Poważnym płasem idą — błyszczą szaty
Z lam, złotogłowiu. — Jakies smętne dźwięki
płyną w powietrzu — i t. d.”

Polecam czytelnikom ten ustęp, kończący się
słowami:

„O nie pytajcie mnie, poczem i za czem
Pierś swą rozdarłem jakimś wielkim płaczem!”

„Krwia serca”, jak sam autor się wyraża, pi-
sany obraz dramatyczny p. t. „Z walk życia,”
przypomina tematem jeden ze znanych utworów
Goethego. Temat to zresztą stary jak wieczysty
rozdźwięk między poezją a życiem. Gliški na-
dał mu barwę aktualności i charakter do pewne-
go stopnia lokalny.

Przy głodnej żonie i chorem dziecku poeta
kończy pośpiesznie robioną na zamówienie farsę,
„potwór ducha zrodzony w niedoli.” Poeta bun-
tuje się przeciwko konieczności życia, która „au-
reolą kłownów cyrkowych” przystroi mu czoło,
gardzi sobą, ale nędza-kusicielka nakłania do
pracy haniebnej. Dziecię płacze, żona przez sen
skarży się, że głodna. Po chwili *towar* jest go-
towy. Odnieść go tylko potrzeba, i wziąć zapła-
tę, która niemowlę ocali od śmierci, matce si-
l doda.

Ale na progu zastępuje *poecie* drogę *widmo*,
przybrane w kwiaty, których wonią upajał się
niegdyś.

„Ktoś ty, duchu?” — pyta poeta.

„Jam jest pierwszym dziecięciem Boga... Jak
on tworzę światy” — brzmi odpowiedź.

„Złota era

Apollinowych dni już mnie pamięta...
Byłam piastunką ślepego Homera,
Chodziłam z Dantem w piekło, i ujęta
W złote Petrarki struny, grałam pieśni,
O których dzisiaj śmiertelnym się nie śni.
I w piorunową noc, przy burzy grzmotach
Jam wiodła Leara, olbrzyma cierpienia..
I słyszeliście mnie w wichrowych lotach,
Co w rozdartego serca jęk się zmienia,
I w druidycznych wam śpiewałam grotach,
Arfą Derwida, co ma głos z płomienia,
Która krzyczała, że noc i śmierć głucha
Na ludy panie bez tej arfy ducha.

Poezyą jestem!”

I zwracając się do *poety* wyrzuca mu *widmo*,
że „zniżył skrzydeł swych sztandary,” że nie
szedł „na wyżyny przez ciernie żywota,” że nie
ukochał poezji duszą całą. Odpływa *widmo*,
poeta biegnie za niem, wołając: „Maro! maro!”
Tymczasem żona wpółsenna, klęcząca u kołyski
niemowlęcia zrywa się z krzykiem:

„Ty jeszcze tutaj?! A dziecko umarło!”

To zakończenie szarpie nerwami, ale czyż rze-
czywistość zgrzytem takim nie odzywa się nie-
kiedy?

Zbiorek drobnych poezji Gliškiego wydany
w roku 1893, mieści w sobie utwory poety
z lat dawniejszych: bajki, sonety, piosenki, frag-
menty i t. d. Bardzo wiele pełnych wdzięku
i prostoty urywków, które poeta w ciągu paru
lat ostatnich rozrzucił po różnych czasopismach
warszawskich, nie spotykamy w tym tomie. Zło-
żą się one zapewne na tom drugi, który pod
względem wartości artystycznej przewyższy z pew-
nością pierwszy.

Rozglądając się w tem, co dano nam dotych-
czas, widzimy, że dominującą tutaj jest nuta
współczucia dla cierpiących i upośledzonych.

Poeta jest przekonany, że: by społeczeństwo
z chorób moralnych uleczyć,

„Nie groźb i złorzeczeń,
Nie przekleństw potrzeba,
Nie nowych przegrzów do bicia,
Lecz słowa miłości,
I światła i chleba,
I życiu dać prawo do życia.”

Radby zwrócić myśl możliwych i uprzywilejowa-
nych tego świata ku ginącym w męczarniach du-
cha i ciała, chciałby by „w wirze płynąc tanecz-
nym” pamiętali „o ludzkiej niedoli.” Pojednawczy
ten nastrój zaprawia czasem gorzka pewna. Two-
rzy poeta wtedy obrazki posępne jak owego
„Gęsiarza” na przykład, co to w dzieciństwie pasał
gąski, sierota — i po żywocie znojnym, a samotnym
na starość znowu do gęsi powrócił, i któregoś
ranka zmarł dziad na ugorze, i nawet „nikt nie
widział, jak czoło unżył, jak się z ciałem duch
marny rozpręgał.” Nie tylko gorzkością, ale i ro-
dzajem mściwości naiwnej zaprawny jest wier-
szyk p. t. „Nie tak! Nie tam!” Opowiada w nim
autor o takim, co miał tylko sukmanę i silne
dłonie, a takie dziwne losy, że zawsze żył nie
tak, i siedł nie tam „gdzie pany.” I na starość
też ruszył na żebry,

„I szedł przed siebie, jak gnany
Z obwisłym skrzydłem ptak,
Nie tak jak pany,
Nie tak!
Nie tak!

Wsunął w żebracze łachmany
Wychudłe członki,
Umarł na progu kościelnym,
Gdy w niebie grały skowronki...
Nic mu już smutki, nic rany!
Do rajszych poszedł bram,
Nie tam, gdzie pany,
Nie tam!

Jednym z najartystyczniejszych ustępów zbioru, który mamy przed sobą, jest wiersz „Nie dla mnie.” Melancholijna tercyna ma tu wiele wdzięku.

„Słońce i gwiazdy, motyle i róże,
I sny miłości — już nie dla mnie, Panie!

Nad czołem mojem przeleciały burze
I błyskawice pożarem czerwone...
I duchy jakieś, co niosły w purpurze

Krew... I pognały wszystkie w tamtą stronę,
Z której już żaden żywy duch nie wraca,
A ja za nimi oczy mam zwrócone!”

Ładną także jest „Straszną Bajkę.” Niestety zbyt długa, by można przytoczyć ją w całości, straciłaby wiele charakterystycznej grozy swojej, gdybyśmy chcieli podać czytelnikom wyrwane z niej pojedyncze strofy.

Perłą prawdziwą wśród utworów Głińskiego, jest drukowana niegdyś w piśmie naszym „Chata Nikodema.” Czytelnikom „Tygodnika” nie potrzebuje przypominać jej treści. Nie zatarła im się chyba w pamięci wdzięczna postać Salusi, wyciągającej ramiona ku chatom rodzinnym:

„Teraz pójdę śmiecie
Gdzie serca chore, gdzie się myśl rozprasza,
Jak niezwiązane pilną ręką ziele —
I powiem chatom: jestem córka wasza!
I niwom powiem: drobnem ziarnkiem jestem,
Kłosem pszenicznym i wiatru szelestem —
Nad wygonami pól stanę z uśmiechem,
Miodowem kwieciem wśród łąk się uścielę,
Zapachnę sianem i zadzwonię echem,
Ja, dziecię chłopskie!”

Mogłaby to być przesłiczna rola dla artystki lirycznej.

Zwracaliśmy uwagę czytelników na skłonność Głińskiego do jednania wszystkiego, co pokłócone, do zlewania w harmonję wszystkiego, co brzmi rozdzwiekami. Nigdzie nie ujawnia się to wyraźniej jak w *Chacie Nikodema*. Jest tu surowe potępienie pewnych upiornych uroszczeń. Ród — powiada młody hrabia.

„Złamane

Skrzydło to orle, i dziś nic nie warto
A pióra jego nikczemnie wytarte
I tak zwalane ojczy, tak zwalane!”

Łagodzi je jednak obraz ostatni: dziewczę wiejskie w objęciach magnata i słowa: „W takim uścisku tylko przyszłość nasza!”

W dobrej jakiejś chwili natchnienia powstał ten poemacik serdeczny, który w innych czasach

sam jeden zapewniłby popularność autorowi, uczyniłby go ulubionym gęślarzem, w piastowych chatkach zawsze radośnie witany.

Poeta serca przemawia Głiński do serc współczesnych swoich. Czy odpowiedzą mu one kiedy uderzeniem silniejszym?

H. C.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Szkoły zawodowe żeńskie

na zachodzie Europy.

Wśród wielu nowych instytucyj, powołanych do życia na skutek zmian, zaszłych w warunkach bytu kobiety, spotykamy nieznany przed kilku jeszcze dziesiątkami lat typ szkół żeńskich, który niezmiernie szybko zyskał rozpowszechnienie i doskonalony z każdym rokiem, najpomyślniejsze dzisiaj już daje rezultaty.

W angielskiem czasopiśmie „Contemporary Review” znajdujemy sprawozdanie pani Marion Malholl, w którym dzieli się autorka zadawalniającą pod każdym względem wrażeniem, jakie sama wyniosła z widzianych na kontynencie europejskim tego rodzaju zakładów naukowych.

Bardzo pobieżnie wspomina tam p. M. o Francji; jak widać stawiają tutaj Francuzi pierwsze dopiero kroki, dla tego przedwczesnymi mogłyby się wydać wszelkie sądy i opinie o ich pracy na tej drodze. Natomiast Hollandya, Belgia, Niemcy, a nawet Austria wychodzą dodatnio w opowiadaniu angielskiej turystki, jak to wreszcie czytelnicy sami osądzić będą mogli.

Przedewszystkiem program takiej szkoły żeńskiej jest wszędzie mniej-więcej jeden i ten sam, wszędzie bowiem wyszli inicjatorowie z tego samego założenia. Szło o to, aby opuszczająca szkołę młoda dziewczyna oprócz niezbędnych wiadomości naukowych, miała gotowe kwalifikacye do natychmiastowego zarobkowania, a więc różnice mogą być tylko takie, jakich wymagały warunki czysto lokalne. Każda podobna szkoła ma podwójne zadanie: rozwój intelektualny ogólny i uzdolnienie do pracy ręcznej w jakimkolwiek kierunku. Odpowiednio do tego podzielony jest czas uczennic. Nauczyciele w jednym i drugim oddziale nie są ci sami, przedmioty wykładane zupełnie odrębne, ale oba oddziały mieszczą się w tym samym gmachu szkolnym. Pół dnia, t. j. trzy godziny, poświęcają dzieci nauce przedmiotów wykładanych i do tej pory we wszystkich szkołach początkowych i średnich; drugie pół dnia przeznaczają na naukę rzemiosła, procederu, fachu — jednym słowem na przygotowanie kandydatki do jakiegokolwiek zawodu.

Najdawniejszą szkołę tego typu znalazła pani M. w Amsterdamie. Istnieje ona tam już od roku 1865. Uczennice przyjmowane są poczynając od 12 roku życia, po złożeniu egzaminu wstępnego z nauki czytania i pisania, arytmetyki początkowej i rysunku. Kurs nauk jest trzyletni, a z rzemiosł uczą: rysunku, introligatorstwa, rzeźbienia na drzewie, kroju i konfekcji

damskiej, szycia, fabrykacji kwiatów sztucznych i koronkarstwa. W ostatnich latach dodano naukę telegrafowania i używania maszyny piszącej.

Uczennice uczęszcza do szkoły 200.

Szkoła w Brukselli używa wielkiej wziętości. Założona z hojnych darów dam filantropiek stała odrazu na stopie pożądanego rozwoju. Urządzona wzorowo nie zaniedbuje niczego, co się do pożytku uczennic przyczynia, a jako przykład służyć może bezpłatna wypożyczalnia książek, złożona z 12 tysięcy tomów.

Przedmioty wykładane: arytmetyka, historia, nauki przyrodnicze, higiena i ekonomia domowa. Z zawodów i rzemiosł nauczają tam: rysunku, modelowania, malarstwa na porcelanie, fabrykacji kwiatów sztucznych, przytem: mody i stroje, koronkarstwo, hafty, pismo naszyń i telegrafowanie. Kurs jest trzyletni. Szkoła kwalifikuje do powołania bezpośrednio po uzyskaniu świadectwa. Założona w 1872 roku klasa malarstwa zyskała tak szerokie uznanie, że uczennice przed opuszczeniem zakładu mają korzyści materialne ze sprzedaży wystawionych przedmiotów. Zaczęto malowanie wachlarzy, ale gałąź tę, która nie dawała zysków, zarzucono niebawem. Klasa kwiatów sztucznych wyrabianych w tej szkole wyrugowała z Belgii kwiaty francuskie, a przywóz tego towaru zamienił się w krótkim bardzo czasie na eksport belgijskiej produkcji, i nie mogło być inaczej, jeśli weźmiemy pod uwagę, że szkoła odznaczoną była na pięciu wystawach europejskich, a między temi uzyskała srebrny medal w Paryżu, a złoty w Amsterdamie.

Nauczających jest 16; w tej liczbie dwóch tylko mężczyzn, mianowicie nauczyciele rysunku i malarstwa. Uczennice w pierwszym roku było 60; obecnie jest 150 wnoszących opłatę, i 170 korzystających z nauczania bezpłatnego. Opłata roczna początkowo wynosiła 37 franków, obecnie podniesiono ją do 125 franków. Wiek wymagany lat 13. Egzamin wstępny taki sam jak w szkole amsterdamskiej. Oprócz tego korzystają uczennice z kursu gospodarstwa i ekonomii domowej. W każdym kwartale obowiązkowo przez jeden tydzień obznajmniają się dziewczęta pod kierunkiem specjalnej nauczycielki ze wszystkim, co dotyczy zarządu domem, kuchni, i wogóle całego domowego ładu i porządku. Nauka łączy teorię z praktyką i tak się uzupełniają te wiadomości z wiekiem przez cały okres trzyletniego uczęszczania do szkoły.

Niezależnie od tego istnieje w Brukselli specjalna szkoła gospodarstwa domowego dla dziewcząt klasy robotniczej, położona w dzielnicy miasta zamieszkałej przez ludność fabryczną i rzemieślniczą.

Uczennice wstępują tam po ukończeniu szkoły elementarnej. Wyszedszy z założenia, iż niema w tym stanie takiej pomyślności materialnej, którejby nie mogła zrujnować nieumiejętność lub niedbalstwo gospodyni domu, postanowiła sobie pani Ecsteen, przewodniczka tego zakładu, obznajmiać młode dziewczęta ze wszystkim, czego wymaga położenie kobiety w klasie zarobkującej. Jest to zadanie umożliwionem w Belgii w wysokim stopniu, bo nie brak tu niczego do tego celu, nawet podręczników specjalnych. Otóż czas uczennicy dzieli się tutaj między szycie ubrania męskiego, kobiecego i dzieciennego, reparację bielizny, sukien, i naukę kuchni zastosowaną do potrzeb klasy, dla której dzieci szkoła jest przeznaczoną. Dziewczęta robią same zaku-

py w mieście, przygotowują śniadania i obiady, trzymając się w granicach 60 centymów przeznaczonych na obiad i 30 centymów na śniadanie. P. Mulhall uczestniczyła w takiej skromnej uczcie, i znalazła wszystko, co jej podano, wybor-
nem.

Do przedmiotów, których uczą się w tej szkole dziewczęta należy i rachunkowość domowa. Ponieważ przewidywać należy, że uczennice zostaną kiedyś żonami niższych urzędników, drobnych kupców lub rzemieślników, przeto między wzorami w ich księdze rachunkowej znalazła pani Mulhall rozszczególnienie pozycji domowego budżetu na sześć osób w rodzinie, przy dochodzie rocznym 3,000 franków.

Przewidziane są tam wszystkie potrzeby, poczynając od mieszkania aż do funduszu na chorobę lub wypadki nieszczęśliwe, a stała nienaruszalną pozycję stanowi pewien procent przeznaczony na wkład do kasy oszczędności.

Wogóle zdaniem angielskiej turystki zrobiła Belgia bardzo wiele dla podniesienia bytu moralnego i materialnego swojej kobiety należącej do klasy robotniczej, stanu rzemieślniczego i małego kupiectwa.

Królestwo Württemberskie ma swoją wzorową szkołę dla dziewcząt, założoną w roku 1868 w Reutlingen. Uczennic jest 300 a przy internacie kurs dwuletni.

Szkoła monachijska nie różniąc się programem od powyżej wymienionych, jest to także zakład z internatem. Uczennic stale mieści się tam 120. Opłata miesięczna 3 franki 75 centymów.

Cena sama wpisu wskazuje, że instytucja nie może opłacać się materialnie, i dlatego pospieszamy z objaśnieniem, że powstał ten zakład staraniem stowarzyszenia poprawy bytu klas robotniczych. Jest przy szkole monachijskiej i klasa nauczycielek, które są dyplomowane przy opuszczeniu kursów.

W kilku kantonach szwajcarskich znalazła pani M. wzorowe prawdziwie klasy wieczorne dla dziewcząt. Uczą tam rysunku, robót ręcznych i śpiewu. Co do szkół zawodowych, o których mówimy tutaj przedewszystkiem, używają wziętości: genewska i druga założona pod Zurich.

W obydwóch program ten sam mniej więcej, który znajdujemy w tego rodzaju zakładach Niemiec południowych.

Austria nie pozostaje w tyle po za innemi państwami europejskimi. Pierwszą szkołę zawodową założyły damy filantropki w Klagenfurcie w roku 1868. Obecnie ma Austria 398 tego rodzaju zakładów, a w nich 18,000 uczennic. Wszystkie mniej więcej założone na wzór szkoły zawodowej brukselskiej. Wogóle Wiedniowi nie brak szkół przygotowujących kobiety do powołań niższych, z uniwersyteckiem tylko wykształceniem żeńskiem idzie tam dosyć nieszczęśliwie, jak wiadomo. Za to szkoła kucharek wiedeńskich słynie bardzo szeroko, przysposabia mistrzynię prawdziwe w tym fachu, a że Wiedni-
czycy są gurmandami znanymi w Europie, i że nie mało wagi przywiązują do swoich sosów i melspejzów, więc obecnie zabiera się municypalność tego miasta do założenia dwóch jeszcze podobnych akademij.

Ale chwałę prawdziwą stolicy Naddunajskiej stanowi zdaniem p. Mulhall żeńska szkoła haftu pod kierownictwem pani Saint Georges. Kurs jest niby pięcioletni, ale większość dziewcząt opuszcza szkołę po trzech, a nawet po dwóch latach

i wychodzi ztamtąd zupełnie usposobiona do zarobkowania. W zakresie tej specjalności niema tam podobno braków żadnych. Do doskonałości prawdziwej doprowadzono hafty: tureckie, perskie, japońskie, indyjskie, a nawet stanowiący nowość w Europie haft paraguayski, przywieziony tutaj przez kobiety Guarani. Koronka z włókien aloesowych, którą produkuje zakład, jest robotą tak eteryczną, że może być wykonaną tylko przy drzwiach zamkniętych. Wiatr chodzący po sali psuje te tkanki pajęczne.

Szkoła p. Saint Georges jest bezpłatną.

T. M.

Leczenie słoneczno-atmosferyczne.

Rzadko dosyć trafia się słyszeć Francuza, utyskującego na małą wynalazczość francuską, a chętnie przyznającego sąsiadom z tamtej strony Renu jakąkolwiek pod tym względem wyższość. Z takim jednak utyskiwaniem spotykamy się w jednym z pism francuzkich. Autorem korespondencji jest człowiek, który w kraju swoim przez długi czas nie mógł znaleźć ulgi na dręczące go dolegliwości, a który znakomitego, jak twierdzi, polepszenia doświadczył w zakładzie kuracyjnym położonym w Austrii, w Górnej Krainie na pograniczu Włoskiem.

Zachwycony rekonwalescent opowiada o tamtejszej metodzie leczniczej, tłumaczy jej korzyści, zachęca do naśladowania wszystkich, którzy bez skutku polykają z roku na rok massy wód mineralnych albo kąpią się w wodzie rzecznej, źródlanej i morskiej. Przedewszystkiem wychodzi on w dowodzeniu swoim z założenia, że człowiek nie jest amfibją, i że chce wszystkie jego niemoce powierzać działaniu wody, jest tem samem, co wynieść na powietrze szwankującą na zdrowiu rybę.

Ponieważ streszczamy tutaj tylko cudze zapamiętania, wolno nam tedy będzie zrzekłszy się za nie wszelkiej odpowiedzialności, przytoczyć i resztę wywodów i argumentów tego fanatyka jednej z metod leczenia naturalnego. Przedewszystkiem tę wynalazczość niemiecką, o której wspominaliśmy na początku, widzi on w wielkiej różnorodności przepisywanych środków i odpowiedniej ilości nowo-powstałych w Niemczech zakładów kuracyjnych.

Podczas gdy Francuzi znają tylko kąpiele zimne, gorące lub letnie, stosują z wielkim powodzeniem Niemcy gimnastykę racjonalną, metodę zupełnego spoczynku, wegetaryanizm, nacieranie i masaż, a nakoniec te kąpiele atmosferyczno-słoneczne, które jego samego uleczyć miały.

Wszystkie cierpienia (zawsze słowa owego korespondenta) zawdzięcza człowiek cywilizacji. Górs-
et uciskający płuca i tamujący swobodne funkcje serca, ciasne obuwie przeszkadzając prawidłowej cyrkulacji krwi i koncentrując tę krew w górnych częściach organizmu, potrawy wyszukane, które lechcą mile podniebienie, ale na które wzdryga się żołądek i wątroba, wreszcie hermetyczne okrywanie powierzchni ciała, niedopuszczające transpiracji—oto krzywdy, jakie wyrządza człowiekowi ślepe stosowanie się do przyjętych powszechnie zwyczajów. Dajcie pokój mięsu, truflom, czekoladzie, alkoholicznemu przetworom, a poprzestańcie na chlebie grubo-ziarnis-

tym, kapuście, kartoflach i owocach wszelkich, przy wodzie jako napoju jedynym; uwolnijcie ciało od więzów i dajcie do jego powierzchni przystęp dobroczynnemu powietrzu i ożywczym promieniom słońca, a przekonacie się jak szybko oswobodzeni będziecie od wszystkiego, co was udręcza pod względem fizycznym.

Tymi właśnie środkami walczy lekarz higienista, jak on sam siebie nazywa, w zakładzie, o którym wspominaliśmy. Pacjenci mieszkają w specjalnych chatkach przewiewnych, nazywanych tam: „Lufthütte” których dach stanowią konary kasztanów rozkosznie poruszane wiatrem—mocniejszym lub słabszym, ale zawsze dla zdrowia ludzkiego bezwarunkowo zbawiennym.

Wstają z rana o godzinie 4-tej wszyscy lecący się, i pierwszym ich obowiązkiem jest wyjście w stroju Adamowym na świeże powietrze. Po takiej parogodzinnej kąpieli okrywani oni bywają kocami, kosztują transpiracji także na wolnem powietrzu, poczem następuje opłukiwanie wodą i znowu kąpiel słoneczno-powietrzna. Przez cały dzień z pewnemi zmianami odbywa się to traktowanie, a ciągle korzysta szczęśliwy chory z nieograniczonej ilości tlenu, który wdycha obowiązkowo w dozach „à discretion.”

Odżywianie organizmu odbywa się w ten mniej więcej sposób: pierwsze śniadanie stanowi kawałek chleba z miodem, drugie chleb z konfiturami i mleko, obiad, składający się z polenty, kapusty w różnych odmianach, szparagów i wody, dopiero o godzinie 6-tej po południu; znowu kąpiel powietrzna wieczorem, inakoniec spoczynek w owej lufthucie pod nakryciem dobroczynnych kasztanowych liści.

Leczącym się przypominają ciągle sentencję Moliera:

„Nie mówcie nigdy, że chory umarł na taką lub inną gorączkę — na takie lub inne zapalenie. Pamiętajcie, że chory umiera zawsze na taką lub inną liczbę doktorów i aptekarzy.”

Może być, że zrazu trudno trochę nawyknięt człowiekowi do tego regulaminowego stanu natury, ale i tu umięją pocieszyć chorych wyrażeniem Karola V: „Ci ludzie mają wszyscy miny waryatów, a tymczasem są to ludzie rozumni.”

Wprawdzie, nie o zwolennikach kąpieli powietrzno-słonecznych powiedział to Karol V-ty, ale dla czegożby i oni nie mieli tego wiać do siebie, jeśli im to tylko robi przyjemność.

K.

NAD SIŁY.

NOVELA.

(Ciąg d. lszy).

Przerzucmy kilka kart z życia człowieka, którego zostawiliśmy w kancelaryi naczelnika stacyi, gdy odczytuje telegram wobec utkwionych w niego badawczych spojrzeń całego służbowego personelu. Potrzebny nam odrębny chociażby szkic tej postaci, której bez rzutu oka na jej przeszłość trudno by nam było zrozumieć.

Pan Melchior R. wielce przez zwierzchność jednej z komisij rządowych ceniony naczelnik wydziału, charakter którym się odznaczał, opi-

nią której używał, i pozycję towarzyską, którą zajmował, zawdzięczał okolicznościom całkowicie wyjątkowym. Podczas, gdy jednym rozświecającą drogę życia dobre przykłady ich najbliższego otoczenia w wieku młodym, a w późniejszym moralność sfery do której pochodzeniem i życiem należą, o panu Melchiorze mówiło kilku ludzi, którym przeszłość jego była bliżej znana, iż został człowiekiem... ze strachu. Syn ubogiego rzemieślnika, ukształcenie początkowe i dalsze, charakter, pojęcie o obowiązku i godności ludzkiej, stanowisko, szacunek ludzki, a nawet i ten szczupły dział szczęścia, który mu się dostał zbyt późno może — wszystko to zdobywał u losu niesłychanymi ofiarami i wysiłkiem — wszystko brał szturmem.

Niełatwo było znaleźć jego uznanie, nieufnym był i wymagającym, wtedy, kiedy już nie on z ludźmi, ale ludzie z nim rachować się musieli. Nie brał mu tego za złe nikt z tych co go znali oddawna, bo jeżeli kto to ten człowiek, mówiono powszechnie, zdobył sobie prawo do bezwzględnej sądy swoim wstrętem do kompromisów z honorem i obowiązkiem.

W dzieciństwie patrzył w domu rodzicielskim na ciemnotę, ubóstwo z jego nieodłączną nieporadnością — widział nałóg i upadek. Obcowanie z ciemnotą dało mu pragnienie światła, bierne poddanie się nędzy budziło jakąś nieprzepartą potrzebę wydarcia się z jej otchłani, a widok ojca ślaniającego się na nogach pod wpływem trunku, omierzył mu nietylko sam nałóg i jego następstwa, ale i sferę społeczną, w której takie zboczenia traktowane były jako chleb powszedni.

Energia takiego aspiranta do wyzwolenia się z więzów otoczenia, musiała mieć koniecznie pewną przymieszkę dzikości, ale bez tej dzikości, wstrętu i grozy jakie w nim budziło poniżenie, nie byłby mu się wydarł z największą pewnością.

Uczuciowym taki przyszły wyzwolenc nie może być z pewnością w chwilach pierwszych męskich postanowień swoich; oglądać się po za siebie wychodziło na to samo, co chwiać się — słabnąć — ustać w połowie drogi.

Ustać nie myślał, a więc ani się chwiał, ani oglądał, tem mniej żałował tego co rzucił.

Po dwu latach nauki w ówczesnej szkole rzemieślniczo-niedzielnej zapragnął dostać się do gimnazjum, w którego gmachu mieściła się szkoła. Widok młodzieży tak odmiennie od tej, z którą on zostawał w stosunkach codziennych, czarował go, nawet te sale klasztorne pustych wywierały nań wpływ jakiś niepojęty. Przeczynał w tem wszystkim środek ucieczki przed warunkami bytu, w których go los umieścił, a ten byt był dla niego zmorą prawdziwą. Nad ogromem trudności, które go murem odgradzały od wykonania tego co zamierzył, nie zastanawiał się bardzo. Samo rozważanie, przewidywanie i obmyślanie mogło skruszyć postanowienie najsilniejsze, wreszcie o tem czego mu nie dostawało, on wyobrażenia dobrego nie miał i po raz pierwszy rzucił mu światło na te jego braki protektor, którego sobie sam obrał instynktem jakimś szczęśliwym. Był to prefekt szkół rzemieślniczych — ksiądz nie młody już, wyrozumiały i przystępny. Zbliżenie się do niego nie przerażało — owszem w trudnych okolicznościach zwyczajem było udawać się do tego pośrednika o poparcie wobec innych członków szkolnej zwierzchności.

Upatrzywszy chwilę sposobną, szedł za nim ku mieszkaniu jego na Kanonii ubogi chłopiec rze-

mieślniczy, i dopiero przy drzwiach samych zdecydował się zbliżyć i wybąknąć coś w rodzaju nieśmiałej prośby, sformułowanej w dodatku Bóg wie po jakiemu — a więc niejasnej — chaotycznej, która mogła zrazić niejednego mniej wyrozumiałego protektora. To też chłopiec, który prze-czuwał dosyć, jak na wiek swój i ukształcenie, zrozumiał, że zaczął dosyć nieszczęśliwie. Początek rozmowy jaka na niego czekała, nie mógł mu także dodać otuchy.

— Chciałbyś się dostać do szkół, o ile się domyśleć mogę — mówił ksiądz, przypatrując się chłopcu. — Wszak tak?

Jakieś mruknięcie wraz z ukłonem niezgrabnym stanowiło odpowiedź potwierdzającą.

— Rodziców masz?

— Niby mam, ale...

— No dobrze, rozumiem. Funduszu brak ci także zapewne. Ale szkoła rzemieślnicza nie przysposabia do egzaminu, nawet do klasy I-ej. Wiek twój także nie odpowiedni. Trudnych rzeczy chcesz, moje dziecko. Choćby ci nawet dopomógł tym lub owym sposobem, nie łatwo ci będzie dokonać czegoś, bo wreszcie gotowo to być wszystko nad siły twoje własne.

Z tem wyrażeniem „nad siły” spotykał się dzisiaj chłopiec po raz pierwszy, ale bynajmniej nie ostatni, w swoim życiu. W tem zadaniu, które on podjąć zapragnął wszystko istotnie miało być wedle przyjętego wyrażenia „nad siły” prawdziwie.

Wstęp nie był zachęcający bynajmniej. Chłopiec miał czapkę w rękach, ksiądz wpatrywał się w niego uważnie i już zaczął suplikant rozmyślać o wycofaniu się, biorąc to wszystko co usłyszał za prostą odmowę, kiedy najniespodziewaniej dano mu konkluzję tego wyводу całego, zawartą w tych kilku słowach:

— No przyjdź tu do mnie za trzy dni o tym samym czasie. Zobaczymy. Przyjdź!

Po trzech dniach męczącego oczekiwania zjawił się kandydat do nauki szkolnej w tym samym pokoju. Obserwatorem nie mógł on być w swym wieku, ale wypogodzona twarz starca od pierwszej chwili napelniła go otuchą. Nie mógł mieć tego zadowolenia w rysach człowieka mający takiemu jak on biedakowi, gorzkie odtrącenie oznajmić.

W dwa niespełna miesiące potem ziściło się pierwsze jego wielkie pragnienie. Dzięki staraniom kilku nauczycieli przygotowano go jako tako do egzaminu, przyjęto z czem przychodził, zamknięto oczy na braki, rachując, że silna wola tego dziecka wkrótce pozwoli mu powetować jego zaniedbanie dotychczasowe.

Pod tym względem nie zawiedli się protektorowie, ale protegowany, przyznać należy, doświadczył do pewnego stopnia zawodu. Szkoła nie dała mu tego, czego się po niej spodziewał. Zdolności okazały się niewielkie, rozwój ogólny wcale niewystarczający, a że w dodatku powierzchowności ujmującej odmówiła mu natura, a obejście przynosił ze sobą takie, jakie mu dać mogło jego wychowanie domowe, więc ze zjednaniem sobie przychylności towarzyszyów szkolnych szło mu bardzo niepomyślnie. Wśród młodzieży dojrzalszej oceniono by z pewnością jego zaszczytną żądzę wybiecia się na wierzch — te dzieci patrzyły na niego z ukosa, boczyły się często, szydziły i nieoszczędzały intruzowi upokorzeń.

To zmusiło go do wczesnego zamknięcia się w sobie; zastygł tak odrazu i tego braku już mu życie późniejsze i praca nad sobą usilna, zapelnąć

niczem nie mogły. Była wola, urabiał się charakter, wytwarzały ręką jego użyteczności, ale o zupełnie normalnym rozwoju mowy być niemożliwo. W każdym razie była to roślina wegetująca w cieniu. Wchodził w świat inny, w sferę doskonalszą od tej w której się urodził, ale już w młodości było mu w tym świecie nie swoje i zawczasu zaczynał pojmywać, że jeśli tu czegoś znacznego niedokona, wszystkie trudy i wysiłki będą daremne.

Jak tu dokonać czego jednak na świecie bez stosunków, poparcia, bez talentów, zdolności wybitniejszych i przymiotów towarzyskich?

Zadanie trudne — jeśli w ogóle nie zupełnie niewykonalne. Łatwym i przewidującym nie mógł być ten chłopiec w epoce szkolnej swojej kariery, ale tu już poczyniała mu świtać myśl, że wszystko co wykracza po za granicę mrówczej pracy, czego nie będzie mógł zdobyć mozołem i wytrwaniem, okaże się dla niego niedostępnym. W pojedynku swoim z fatalnością jednego tylko miał sprzymierzeńca: silną wolę, i ten czynnik nawykł zawczasu przykładac jako miarę do wszystkich zamiarów i postanowień swoich.

W takich warunkach rozwijał się charakter tego człowieka.

W duszy na wszystkie trudności życia znajdował zawsze jedną tylko odpowiedź: „muszę i powinienem”, nie dziw zatem, że oprócz musu, powinności i obowiązku nic więcej niewiedział przed sobą ani obok siebie. Tryumfy tego bojownika ograniczały się do przewycięzania trudności i takimi znaczył on szlak swego życia etapami, obojętny na resztę pragnień i dążeń ludzkich.

Po skończeniu szkół jedną tylko dostrzegał przed sobą drogę, a tą było urzędowanie. Do tego rodzaju pracy był on zbrojnym dostatecznie, i tu istotnie czekało na niego powodzenie, którego daremnie byłby z pewnością szukał gdzie indziej.

Na tle stosunków czysto miejscowych urobił się u nas typ biurokraty epoki minioniej — typ traktowany jako ujemny przez wszystkie żywioły młodsze i ruchliwsze — w każdym jednak razie godzien poszanowania i przedstawiający niepospolitą użyteczność publiczną.

Czy się pan Melchior na jednej z doskonałości podobnych wzorował, czy samodzielnie wytworzył jakąś jej nową odmianę lub podgatunek, decydować nieośmielamy się tutaj, to pewna, że stawiano go jako wzór godzien naśladowania, że ceniło w nim człowieka nieprzystępnego pokusom, pracownika niezmordowanego, dręczyciela drugich w imię obowiązku, ale zarazem najsurowszego dręczyciela samego siebie.

„Nie można,” „nie podolam,” „to nad siły,” wyrzucił raz na zawsze ze słownika swojego, i dosyć było któremu z podwładnych z czemś w tym rodzaju się odezwać, aby względy zwierzchnika raz na zawsze utracić. Była to tedy maszyna, ale maszyna idealna, i za taki typ akuraczności uważali go zwierzchnicy i podlegli — przychylni i niechętni.

Tak dożył lat czterdziestu pięciu wieku. Co było dla niego dostępnym osiągnięciem; czego nie poznał ani przeczuł, tego nie zapragnął, i zdawało się wszystkim a jemu samemu najbardziej, że dopłynie do kresu swego pod tym znakiem, pod którym żeglował dotąd, gdy tymczasem los psotnik pchnął barkę jego na całkiem nieprzewidywane prądy i hazardy.

Jak widać panu Melchiorowi sądzonem było spłacić haracz powszechnem prawu w wieku o wiele

późniejszym niż spłaca większość śmiertelnych, a e los kalkulator równie nieubłagany jak pan Melchior sam, wystosował mu ten rachunek z doliczeniem zaległości i karami za przetrzymanie terminu. Należy przez to rozumieć, że szpakowaty już dobrze stary kawaler poznał kobietę, której zapragnął goręcej, niżby zapragnąć mogło wielu młodszych od niego, a że umiał chcieć, czekać i posiąść to, po co wyciągał rękę, więc pomimo, że było przeciwko niemu więcej niż za nim w tej grze zupełnie dla niego nowej, zwyciężył jednak ostatecznie, i w 47-ym roku życia ujrzał się małżonkiem młodym—jeśli nie wiekiem, to duchem z największą pewnością.

Jakie miał do usunięcia na drodze do swego szczęścia przeszkody, szczegółowo opowiadać nie będziemy, wątpliwości jednak nie podlega, że były przeszkody i to bardzo poważne, bo 30-letnią przyszłą panią Melchiorową nie nażarty straszono pożyciem z tak zwaną mumią zasuszoną i że zapewniały ją starsze i młodsze od niej kobiety, iż jakkolwiek przyszły jej oburzać się zwykły na myśl samą, iżby co „nad siły” jego być mogło, za to ona spotka się z pewnością z warunkami, które jej siły o wiele przechodzić będą.

Nie słuchała rad i podszeptów, poszła za przekonaniem własnem, jeśli już o uczuciu w ścisłym znaczeniu mowy tam być nie mogło, a jakkolwiek śledczych poszukiwań dokoła tego stadła nie brak było wcale, o nieszczęśliwym jego pożyciu nie miała w ciągu lat trzech nic do zanotowania kronika plotkarska, w jurydycektory której zamieszkiwali. Gdy zaś po trzech latach przyszła pani Melchiorowej rozstać się z mężem, głosiła bardzo poważna opinia, iż umierała ta godna szacunku kobieta ze spokojnością o los swojej dwumiesięcznej córeczki o wiele większą, niżby ją mieć mogła, gdyby dziecko swoje opiece jakiegokolwiek innego, choćby też najsympatyczniejszego w obcowaniu człowieka i małżonka pozostawiała. Umierała nadto z serdecznem dla niego współczuciem i żalem.

Jeśli to było prawdą należałoby z tego wnioskować, iż pan Melchior był człowiekiem rękami pod każdym względem — we wszelkich sprawach i stosunkach.

Jak na niego podziałała śmierć żony, jakim był dla dziecka swego, czy zaszła w tym człowieku twardym, nieugiętym, zimnym, zmiana jaka na korzyść, trudno było dociec tym mianowicie, którzy go widywali tylko w miejscu jego urzędowania. Tutaj pozostał sobą zupełnie, a że tam plotkarze upowszechniali od czasu do czasu, iż szarą godziną wymykał się codziennie owdowiał małżonek na Powązki, że w domu opowiadano sobie o jego czułości dla pozostałej sierotki różne szczegóły niepozbawione pierwiastku wysoce komiecznego, więc przebąkiwano o tem i w biurze także. Nikt jednak z tych, którzy go widywali zawsze jednak zapiętego w mundurowy frak—zawsze wygolonego, niezmiennie sztywnego, i z jego nieodstępnym zielonym futerałem na prawym ręku, szczególnej wiary do tych pogłosek nie przywiązywał.

Mumia była mumią niezaprzecznie i taką pozostać musiała w sprawach wszelkiego porządku.

Z drugiej strony utrzymywać zaczęli z biegiem lat bezstronniejsi, że nie brak było i poszlak wprost

przeciwnych. Spotykano teraz w godzinach poburowych pana Melchiora w ogrodzie Saskim w letnich miesiącach równie regularnie, jak w miejscu jego urzędowania, a wzrok wpatzonego w bawiące się przy niem dziecko nabierał podobno jakiegoś szczególnego wyrazu, o który trudno byłoby nawet podejrzewać tę bryłę lodu, ożywającą się tylko na widok reskryptów i paragrafów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z ideałów zaoceanowych.

„Jaki wiek—jacy ludzie, taki rodzaj chwały.”
Mówi poeta.

Nie raz i nie sto razy udało się Amerykanom zadziwić starą naszą Europę. Wszystko co z tamtąd pochodzi, jest, nie powiemy wielkie, ale wielkich rozmiarów—jeśli nie oryginalne to zdumiewające ekscentrycznością—jeśli nie piękne wedle naszych pojęć, to w każdym razie ogromne, monstrualne.

Patrząc na ich dzieła, przypomnieć sobie nie raz musi Europejczyk francuzkie: „Si ce n'est la qualité, du moins la quantité,” ale wątpliwości nie podlega, że upędzają się Yankesi za wszystkim co niezwykłe (nie chcemy powiedzieć: nadzwyczajne).

Otóż w pogoni za tą niezwykłością poddał bies chyba w własnej osobie jednemu z większych dzienników pomysł, aby wezwać do konkursu jubilerów miejscowych o włożenie na jedną niewiastę na raz jeden „drogich kamieni za milion dolarów.”

Zadanie nie było wcale łatwem, bo z jednej strony nie było jubilera, któryby posiadał brylantów za tak wysoką sumę w swoim magazynie, a z drugiej nielada korpulencji niewieściej potrzeba było do rozmieszczenia takiej ilości mineralów, i nie byle jakiej muskulatury, któraby przez ciąg kilku godzin potrafiła dźwigać to brzemie. Nadto nadmienić jeszcze wypada, że zastrzeżono się przeciw brylantom wartości wyjątkowej—takim na przykład jak angielski Kohinoor, francuzki Rejent, i kilka jeszcze innych okazów wartości wyjątkowo wysokiej. Szło jedynie o brylanty wartości średniej.

Ale ponieważ znalazł się dziennik, który zrobił propozycję, musiał się znaleźć jubiler, który zamierzył wykonać tę potworność, a nadto znalazła się i piękna Amerykanka, która zapragnęła wślawić się przy pomocy tego jednorazowego występu, połączonego z uniesmiertelnieniem niebywałego widowiska za pośrednictwem fotografii. Nazwisko tej obywatelki: miss Virginia Carle.

Pozakładano tedy stoły całe kamyczkami i jubilerszczyzną. wszelkiego rodzaju, wprowadzono odpowiednio ubraną i ufryzowaną piękność i rozpoczęto rozmieszczanie tego wszystkiego na czole, ramionach, plecach, wreszcie we włosach i na powierzchni sukni. Manipulacja trwała kilka godzin, bo szło przecież o sens i smak jakiś

w tem wszsztkiem, skoro sens i smak uznano raz za możliwy wobec założenia samego.

A więc najprzód włożono podwójny rząd brylantów, o średnicy wielkiego palca męskiego, ułożonych w spadającą na biust rivię. Było tego za 80 tysięcy dolarów.

Szwy stanika wysadzono soliterami w liczbie 6-ciu, z których każdy wart był 200 dolarów.

Na głowie umieszczono rodzaj tiary ze skrzydłami Merkurego, naśladowanie czapłego pióra i jakiegoś w dodatku ptaka — to wszystko rozumie się brylantowe, nadto umieszczono stroik z rubinów i brylantów przedstawiający bratki, chryzanthemy i motyla. Ta flora i fauna cała reprezentowała 100 tysięcy dolarów.

Przepaska na czole skombinowana ze szmaragdów i brylantów wraz ze strzałą brylantową wpiętą we włosy, szpilki brylantowe, kolce brylantowe wielkiej wartości przenosiły się ze stołów na osobę miss Carle, ale jubiler po kilkogodzinnej pracy ze strachem spostrzegł, że do miliona dolarów jeszcze daleko. Zabrano się więc do dekoracji spódnicy w gwiazdy z wielkimi soliterami w pośrodku, a czego nie pomieszczono tam, zużytkowano na naramienniki, bransolety i dopełniono pierścieniami, których naliczono wogóle 71.

Tym sposobem zmieścił się cały milion dolarów.

Błyszczało tedy, świeciło oślepiało, a w końcu przekonali się wszyscy jaką to idyotyczną niedorzeczność spełnić można przy pomocy miliona dolarów, kiedy się ma gust estetyczny amerykański i amerykańskie pojęcie o tem, co wielkie.

A.

PRZYJACIEL DZIECI,

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE.

PRENUMERATA WYNOŚI:

w Warszawie	na Prowincyi
Rocznie . . . rs. 4	Rocznie . . . rs. 5 k. —
Półrocznie . . . rs. 2	Półrocznie . . . rs. 2 k. 50
Kwartalnie . . . rs. 1	Kwartalnie . . . rs. 1 k. 25

Adres redakcyi: Chmielna Nr 26.

Numer 35 wyszedł z druku i zawiera:

Czy też go przyjmą? (z drzeworytem). — Pogadanki naukowe. — Władysław Nowicki: Listy Ciekawskiego z Wystawy Hygienicznej. — W imię Boże (z drzeworytem). — Lekcja francuzkiego, fraszka sceniczna. — Michał Synoradzki: Sąd Boży, powieść z czasów Ryszarda Lwie-Serce. — W zaklętym królestwie (z drzeworytem). — Prawdomówny Dyzio. — Nie bierz, bo to moje, wiersz. — Baśń o sierotce Julisi. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Zadania i łamigłówki.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

TREŚĆ: Od redakcyi. — Antoni Miecznik: Owanes Ohana, powieść (ciąg dalszy). — Nasi najmłodsi (ciąg dalszy). — Szkoły zawodowe żeńskie na zachodzie Europy. — Leczenie słoneczno-atmosferyczne. — Nad siły, nowela (ciąg dalszy). — Z ideałów zaoceanowych. — Ogłoszenia. — W DODATEKU POWIEŚCIOWYM. — Anatol Krzyżanowski. Galatea, powieść współczesna (arkusz 23). — Andrzej Theuriet: Kwiat Nicei, przekład Bronisławy Kowalskiej (arkusz 1).

NAJPIERWSZA
SZKOŁA KROJU, SZYCIA
I PRACOWNIA SUKIEN
W WARSZAWIE,
E. EHRENKREUTZ
Mistrzyni Cechowej.

Po powrocie z zagranicy, pospieszne kursa dla osób przyjezdnych i dostarczanie takowym najświeższych fasonów.

Zgoda Nr 3. — Chmielna Nr 24.

W Zakładzie Naukowym 6 k.
MARYI RAUM
Nowy-Swiat Nr 15 (róg Jerozolimskiej).

Egzamina wstępne rozpoczną się dnia 2 Września, lekcye 5 Września; zapis pensyonarek i uczennic przychodzić od 26 Sierpnia, między godziną 10—5 po południu.

Biuro Nauczycielskie
JADWIGI JAHOLKOWSKIEJ

Nauczycielki 2-go Gimnazjum, Warszawa, ul. WSPÓLNA Nr 40, tamże Zakład froebowski L. Jaholkowskiej.

!WYPRZEDAŻ!

pozostałych towarów z Magazynu

E. L O T H

jako to: Kapeluszy letnich i filcowych damskich i dzieciennych, oraz męzkich wyłącznie słomkowych, również Kwiatów po cenach niżej kosztu, odbywa się w dalszym ciągu w lokalu prywatnym, przy ulicy Nowy-Swiat Nr 57 (blisko S-to Krzyżkiej).

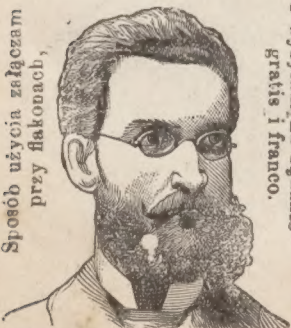
Zakład Naukowy Żeński 6-cio klasowy
STANISŁAWY ŁAPIŃSKIEJ

W WARSZAWIE,
Krakowskie-Przedmieście Nr 2.
(Wprost Kopernika).

Przyjmuje uczennice na przychodnie, półpensyonarki i pensyonarki stałe. Warunki przystępne. Po za obowiązującym programem nauk szkolnych kładzie się nacisk na krój, roboty ręczne, konwersację w obcych językach oraz dobre wychowanie, w najwyższym znaczeniu tego słowa. Gimnastyka, muzyka, śpiew, tańce bez oddzielnej opłaty od pensyonarek. Zapis i egzamin nowowstępujących uczennic odbywa się codziennie. Rok szkolny zaczyna się 5 Września.

CAPILLIFER

Niezawodny środek
wzmacniający cebulki włosów i niszczący
łupież wskutek czego rosną gęste i mocne
włosy, co stwierdzono długoletnią praktyką.
Ceny flakonów stałe: rs. 1 kop. 20, 2 i 3 rs.
Pozwolenie urzędu lekarskiego za Nr 1086. Aby uniknąć
naśladownictwa, wyłączna sprzedaż tylko u wynalazcy
T. L. Grabowskiego, Aleja Jerozolimska
Nr 76, m. 7.
Obstalunki od rs. 2 zaliczaniem za zaliczeniem.



i wysyłam
gratis i franco.

Specjalna Szkoła Haftów

kościelnych, białych i kolorowych. Mebli, stylowych ekranów na atlasie i pluszu. Wybór zagranicznych wzorów.

Warszawa, Zgoda 3, mieszkania 1.

48511

SZKOŁA

Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej.

Przyjmuje pensyonarki dorosłe i panienki kształcące się prywatnie. Rysunki i Malarstwo pod kierunkiem artystów malarzy Andrychiewicza i Wiśniewskiego. Półroczne rysunków rs. 12. Półroczne haftów artystycznych rs. 12. Kursa otwarte 2 Września

HORTENSJA Nr 7. 47746

Wszystkie Książki i Nuty przez kogobądź wydane, posiada lub dostarcza prędko i prenumeraty przyjmuje Księgarnia i Skład Nut Maurycego Orgelbranda w Warszawie, naprzeciw posągu Kopernika. Katalogi i Prospekty bezpłatnie. Tamże Wypożyczalnia (czytelnia) Książek polskich i francuzkich

Szkoła Prywatna Mężka

przy ulicy Chmielnej numer 13, przygotowywa uczniów do niższych trzech klas średnich zakładów naukowych. Przyjmuje się nawet nieumiejących czytać i pisać. Wymagaue są: metryka urodzenia i świadectwo szczepienia ospy. Przy szkole stancya dla uczniów szkół prywatnych. Zapis odbywa się codziennie od godziny 10 z rana do 2-ej po południu. Przełożony Szkoły **R. KOWALSKI,** 48224 b nauczyciel szkół rządowych.

M. POZZI

POLECA:

ZEGARKI

i BIŻUTERYĘ,

przyjmuje zamówienia i reperacje oraz złocenia i srebrzenia.

Nowy-Swiat 31
(róg Chmielnej).



Nakład J. Błaszковского.

18 WYDANIE

NAJLEPSZEJ I NAJWIĘKSZĄ WZIĘTOŚĆ MAJĄCEJ

NOWEJ METODY

do nauczania się łatwym sposobem 4-ch języków

ruskiego, polskiego, francuskiego i niemieckiego w wokabulach, rozmowach i przykładach, z dodaniem prawideł wymawiania, ułożonych przez **ELKANĘ.** Cena 53 kop., w oprawie 60 kop.

Bocquel. Rozmowy francusko-polskie. Cena rs. 1.

Bocquel. Rozmowy russko francuskie. Cena rs. 1.

Dmochowski. Historia święta Starego i Nowego Testamentu. Cena kop. 10.

Sierociński. Gramatyka polska mniejsza kop. 10, większa kop. 20.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Skład główny w księgarni M. ARCTA w Warszawie,

Nowy-Swiat 53.

48612



Pismo tygodniowe ilustrowane, nauce i rozrywce młodzieży poświęcone
(NAJSTARSZE W KRAJU).

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część ilustracyjna, bogata i bardzo starannie prowadzona.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie:

Na prowincyi:

Rocznie . . . rs. 4. Rocznie . . . rs. 5 k. —
Kwartalnie . . rs. 1. Kwartalnie . . rs. 1 k. 25

Jan Skiński, Warszawa, Chmielna 26.